NUMER 8. DNIA 25. LUTEGO 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Henryk Heine.

W Florencji na piedestale u stóp pomnika Dantego przysiadł orzeł i dziób w górę ku niemu podnosi. W Warszawie na Powązkach u stóp hermy Dygasińskiego waruje wierny jego pies. Na jednym z cmentarzów paryskich, o jakie tysiąc kroków od nagrobka Słowackiego, widnieje marmurowy biust Heinego, twarz w dół pochylona, zbolała, a na piersi złoty motyl. Tak scharakteryzował go krótko rzeźbiarz dla cmentarnej publiczności. Czy to sam Heine jest owym złotym motylem, czy też jego poezja? Jak na zacisze cmentarne, więcej nie można było powiedzieć. Majestat śmierci szuka łagodnych symbolów. Bo gdyby chodziło nie o scenę pojednania ze światem, wyrażoną w sonecie:

Jestem chrześcijanin, tak głosi metryka,
Więc kiedy śmierć mi powieki zamyka,
Przebaczam wszytkim z osobna i razem —

Lecz gdybym, kończąc to życia męczeństwo,
Dobyć mógł z piersi choć jedno przekleństwo,
Tobym ich zmiażdżył jak robactwo głazem...

ale o żywą walkę z światem, to w dziełach Heinego znaleźlibyśmy mnóstwo scen wstrząsających a tak symbolizujących jego charakter i stosunek do świata, że starczyłoby może na kilkaset monumentalnych pomników.

Heine, walczący o moralność polityczną w poemacie „Niemcy, bajka zimowa“, idzie nocą pustą drogą i jak to wyraża pewna staroszlachecka śpiewka, „spotyka się z Chrystusem na krzyż przybitym“. Stanął, poznał pramistrza i lotną myślą przenosi palestyńskie stosunki do Niemiec a stosunki niemieckie do starożytnej Palestyny, gorzko ironizując: Boski marzycielu, jakże nieopatrznie rzucałeś w twarz faryzeuszom i doktorom słowa prawdy! Okropnie się oni zemścili nad Tobą i oto wisisz... Gdybyś żył za naszych czasów, uniknąłbyś tragedji. Mowy twoje szłyby do cenzora a ten oględnym ołówkiem wykreśliłby każdy jaskrawszy ustęp i cenzorowi zawdzięczałbyś życie... Inna scena i z innego poematu. Bierzmy jego nadzwyczajne „Obrazy Morza Północnego“, w których, jeżeli o samą poezję chodzi, słyszymy szum przelewajacych się fal po piaskach wybrzeża, jęki trzcin giętych wiatrami, szklane pluskanie deszczów. Ale rozjaśnia się, znikają z horyzontu chmury, ćmiące całe krainy. I te drugie chmurzyska znikają, które powlekały myśli tylu ludów. Ziemia zamienia się w jedną wielką, kwiecistą niedzielę. Głuchnie wark rękodzielny, ludzie w szatach apostolskich krążą po wybrzeżu, a spotkawszy się ze sobą, składają sobie na czole pocałunek wiecznego braterstwa. Bo oto z niebieskich łanów morza dźwignęła się postać świetlista Boga-Człowieka, stopami dotyka wód, a czołem sięga sklepienia błękitnego; w piersi ma zamiast serca, gorejące słońce. Anioły za wstęgi różowe ciągną ku wybrzeżom skrzydlate okręty a ktokolwiek spojrzy ku owemu zjawisku z słonecznem sercem w piersi drżącemi usty szepce w uniesieniu: „Chwała na wysokości...“ Nie, to nie tak było, woła chór szatanów piekielnej ironji. To tylko emanacja poety... Co zrobi z takim obrazem ów poeta? Zdechnie gdzieś z głodu pod płotem, jak pies, wołając zsiniałemi usty „evviva l' arte!“

Ale co tybyś zrobił, Signor Philistro, gdyby ci przypadkiem wylągł się w głowie tak kolorowo-chrześcijański obrazek? Przepisałbyś go „na czysto“, poniósł do żony „wysoko postawionego“ protektora, przy różowem świetle lampy buduarowej czytalibyście to, popłakalibyście się, a ona, intencje twoje pojmując, wyrobiłaby ci czterysta koron rocznie dodatku mieszkaniowego, poczem obejmując jej kolana, zawołałbyś w niebiańskiem uniesieniu: „Chwała

na wysokościach...“ Tym wierszem Heine pogrzebał się w opinji tych, którzy są mocni decydować, czy poeta jest godny pomnika.

Gdybyż on był zakończył na pierwszym obrazku i na pierwszem „Chwała na wysokościach“! Poco ten zjadliwy dodatek, wołają zgodnym chórem niemieccy Faryzeusze. Niema w Heinem jednego funta wielkości, krzyczą klerykaliści i antysemici, którzy wielkość ważą na funty, a łokciem klerykalno-antysemickich miar ustalają rozmiar „właściwych“ i „niewłaściwych“ polotów.

Każdy niemiecki filister, jak szydzi jakieś pismo humorystyczne, jedną połową ust wyklina Heinego jako bluźniercę, a drugą połową ust śpiewa jego „Loreley“. I mają słuszność. Heine marzył o zjednoczeniu Niemiec. Heine miał rację, gdy powiedział: „na grobie moim połóżcie miecz, bo byłem właściwie żołnierzem...“ Ale gdyby Heine zobaczył, jaki klimat moralny nastał w tych Niemczech, jaki owoc klimat ten wydał i do jakiego stopnia pruska pikielhauba niemal z napisem: „in hoc signo vinces“ stała się symbolem tego zjednoczenia, byłby niezawodnie rad, że nie leży na ziemi niemieckiej, że nie ów „czarny, obrzydliwy ptak-drapieżec“ szarpie mu pierś marmurową pomnika, ale że przysiadł tam złoty motyl i unosi go w wieczność bezgłosym ruchem swych iskier-skrzydełek... I „Dysputy“ nie mogły mu zapomnieć katolicko-protestanckie Niemcy i nie mogły mu zapomnieć, że niemiecki lud przyrównał do niedźwiedzia Atta-Trolla... „Das biedere, deutsche Volk, Herr Jeses“. Heine żywy był właściwie dla pobożnych Niemiec ptakiem skandalu, unoszącym się na piórkach poezji. Zawsze ćwierkał na temat miłości jakieś antykodeksowe zdarzenia...

Żył ongi stary monarcha,
Siwy i ślepy troszeczkę,
Nieszczęsny król patrjarcha
Młodziuchną pojął żoneczkę...

A przecież w Niemczech łatwiej o nowe prawo celne, niż o trójkąt małżeński, którego jedna linja byłaby ułożona z sobolowych ogonków... Heinemu też nigdy nie brakło odpowiedzi.

Takie książki dziś drukować?
Kuso z wami, panie bracie...
Grosza, sławy pożądacie?
Huu... to trzeba lawirować!

Bo kto słyszał u stu katów
Takiem słowem grzmieć do chłopów,
Takim rymem wiać na popów
I tak besztać potentatów!

Toż się cały świat rozjuszy!
Popy mają dobre chrapy,
Możni mają długie łapy
A nasz ludek... długie uszy!

Co? Poczciwy ludek nasz ma mieć długie uszy? Czy to tak mówi patrjota?! Wyrzucić bluźniercę narodowego z narodowego Panteonu... Boć przecież Niemcy miały swoją Narodową Demokrację a niemiecka Narodowa Demokracja swoją niemiecką Narodową Deklamację, nawet Denuncjację. Heine musiał z ojczyzny uciekać do modnego Babilonu. Legenda twierdzi, że razu pewnego pił „Lacrima Christi“ z baronem Rotszyldem. „Skąd ta nazwa?“ pyta ten, który i dla poezji chciał być baronem. Heine bez namysłu palnął: „Dlatego, że Chrystus żywemi łzami płakał, iż żydzi piją tak dobre wino“. Tak to, niesforny języku, wkradłeś się w łaski możnych? Czy rzeczywiście nie mogłeś ugryźć się w ten język? „Za wszystkie królestwa globu ziemskiego nie przemilczałbym dobrego dowcipu“, odpowiada Heine. To całe życie niemieckie jest jedną maskaradą. Ale jaką?

Ach, daj mi maskę, daj maskę łajdaka,
Gdy oni w maskach wielkich charakterów,
W maskach proroków, w maskach bohaterów
Tumanią naród, co wkoło nich skaka...

I moja mowa niech nie będzie taka,
Jak apostolstwo społecznych szulerów —
Śród tych wielkości, śród tych pionierów
Wolę twarz zbója i łachman żebraka!

Huczy, szaleje nasz karnawał stary,
W koło szanowne, uznane maszkary,
Wódz ich tu spojrzał z przerażenia blady...

Cóż ci to, wodzu? Chcesz, odrzućmy maski!
Lękasz się? Prawda, powstałyby wrzaski
I musiałbyś w lot... drapnąć z maskarady!

Ktoś powiedział, że narody wypłacają wielkim swoim poetom honorarja pomnikami. Niemcy jako całość, jako naród, jako ojczyzna, takiego honorarjum Heinemu jeszcze nie wypłaciły. Opinja niemiecka wzdymała się na ten temat już nieraz dyskusją odmiennych fal. Gdyby jednak udało się jakimś cudem wskrzesić Heinego i jego spytać o zdanie w tej materji, powiedziałby prawdopodobnie to, co swego czasu dorpacki profesor Thoma w kwestji proponowanego pomnika dla profesora Baehra: „Postawcie tylko piedestał, bo jeżeli chodzi o figurę, to mamy obecnie tyle znakomitości, że jeżeli tylko każda z nich kolejno jedną godzinę postoi na piedestale w swojej charakterystycznej postawie, to cały nasz naród ogarnie niebywałe gaudium!“

Andrzej Niemojewski.

Wczasy krakowskie.

Zgrzyty.

Miał dla mnie niegdyś Kraków wiośniany, tajemniczy urok. Wszystko wydawało mi się tu osobliwe, poczynając od trafiki warjackiego systemu monetarnego, padania do nóg i całowania rąk, śmiesznego „co — proszę?“, miłej bułki „centówki“, wystawania na Rynku, — a kończąc na nad - norymberskich cudach gotyku bibljoteki Jagiellońskiej, Sukienicach, Wawelu, Rondlu i Rydlu Lucjanie, no i... kończąc nareszcie na dżentelmenie Michaliku, którego piękny obraz w czarnym tużurku i białym krawacie zawiesić musiałem na gwoździu w swej szerokiej, przez wszystkich wyzyskiwanej pamięci tuż obok plakatu z mączką Nestla, odczytem jednego z najtępszych komiwojażerów nar. dem. Archangiela Łibickiego i odezwą „Kupujcie tylko u Chrześcjan“.

Dziś nie ciekawią nałogi stoł. m. Krakowa, a samo miasto w stosunku do Warszawy przypomina rodzeństwo, którego myśli i losy znalazły się na dwóch rozbieżnych linjach życia, które mimo tradycje, więzy pokrewieństwa, parantele i częste listy — coraz słabiej siebie rozumie.

Dlaczego?

Dlatego, że pierwszą nieubłaganą zasadą życia jest, *prawdę brać z pierwszych rąk*, bez pośrednictwa wyobraźni i świadectw postronnych, — że poznać drogi krzyżowe ludzkości ten tylko potrafi, kto na nie sam wstąpił, kto krwawił własne stopy, sam się do lotu zrywał i ginął.

„Przeżycie męki mojej nie jest jeszcze męką moją, bo ty powrócisz do treści własnego bytu“.

Więc inne są nasze drogi i twarde „zbaw się sam“ ukrywa jeszcze twardsze „giń jak możesz“ — giń, ja zaś będę płakać.

Ja = ja, Kraków nie jest Warszawą, a przeto i dla nas zagadnienia wasze w rodzaju tych, jaki kiep ma być skawińskim wójtem, jakiego posła wybierze Rzepicha — dziś są Hekubą, — że już nie mówię o zjawach wyższego rządu, jak n. p. o aferze „Derschatta - Pacak“ lub o gniewoszowych o pomstę satyry wołających smutkach w przededniu reformy prawa wyborczego.

Wstyd tu w Krakowie głośno myśleć obrazami warszawskiego piekła, wstyd „żądać większej zapłaty“, niż tej, która dać może po dniu pracy obywatel, grający w szachy lub wczytany w chwilową mądrość dziejów.

Jest coś z „beztaktu“ w tym krzyku, z jakim się do zamkniętego kółka dobrych zgranych znajomych wdziera człowiek, który — powiedzmy — stracił przed chwilą syna na szubienicy.

Co oni dać mogą?

W każdym podobnym wypadku trzeba wiercić dopiero w bliźnim rodaku głębokie studnie artezjańskie, dopóki się nie napotka na zdroje „wielkich uczuć“.

A kiedy wreszcie dotrzemy do upragnionej głębi, nadejdzie nagle wiadomość, że zdołano już powiesić ukochanego ojca — więc niewiadomo znowu, gdzie wpierw ulokować z trudem zmobilizowane kapitały „serca“ i niewiadomo, co przyniesie jutro.

Tak tedy lepiej już krążyć od żłobu do żłobu, nie czekając, rychło się w nich narodzi nowy cud rozpaczy.

Po takich doświadczeniach obywatel wejść wreszcie musi z sobą w umowę trzeźwą i stateczną: „istnieje kres tego, co mogę ofiarować na szkołę ludową, na wstydzących się żebrać, na agitację wyborczą — na licho wie nieco. Zależy od budżetu. Ale „są granice“ mojej dobroci“.

„Tak samo muszę zachować równowagę i oszczędność w smutku względem... tamtych... braci, przypuśćmy — „walczących“ i przypuśmy nawet wymordowanych... Cóż im dać mogę? Ja sam żyć muszę!“

Właśnie, właśnie ta konieczność może być jeszcze przedmiotem poważnego sporu.

Bo „prawo do życia“ stanowi podczas Rewolucji, jest czemś w rodzaju res nullius.

W Lublinie n. p. rozstrzelano niedawno bez sądu Markowskiego, na zasadzie dodatku do specjalnych katowskich przepisów do ustawy o zapobieganiu i tłumieniu przestępstw.

I Markowski mówił: „żyć muszę“ a jednak pokonano w nim cały bezrozum tak niewczesnych urojeń.

Ale was najmocniej boli, że stało się to — bez sądu.

To tak, jak gdyby „nie sprawili mu rzetelnego pochowku i nie pogodził się ze światem“, który się doskonale z jego śmiercią pogodził.

Okrzeja i Kasprzak, tysiące innych — „żyć musieli“ i te — z placu teatralnego — matki, co pod kopytami kozaków „zgubiły“ dzieci i szukały je dopóty, dopóki nie zaciukano wszystkich słabych,

oszalałych z trwogi, pędzących na pewną śmierć — i one „żyć musiały“.

A ci, których zdejmowano kulą z latarni, jako ptaków, a polegli 1. maja, a wcześniej jeszcze bez statystyki — na placu Grzybowskim, nieznani z nazwiska, wieku i zajęcia, szaraczki Rewolucji — „z griaznoj publiki“, których — jak mówił generał-gubernator... „trzeba niepokoić“, by im odebrać chęć ukazywania się na ulicach — o, tysiące, tysiące zamordowanych w chwili, gdy otwierali usta, by powiedzieć słowa tak dalekie od śmierci, jak Kraków od dziejów Królestwa — czyż oni żyć nie musieli?

Nie, równolegle z Rewolucją wartość ludzkiego życia, jako absolut, powinna uledz zmianie zasadniczej.

Żyć — znaczy dziś współdziałać i niepokoić „czystuju publiku“, która gotowa zasnąć pod kulami, na szańcach.

Wrogiem groźniejszym od śmierci i od bandy średniowiecznych kretynów dzisiejszego rządu, rozwalających głowy dziecięce o kamienie — jest nałóg lenistwa duszy, tępość i oschłość wyobraźni, uchodząca za dowód biernego bohaterstwa i mądrości politycznej.

To, że większość posiada krótki dech, że w przeciągu długich lat niewoli zatracili oni zdolność odradzania i jątrzenia ducha, — że dziś niekiedy nie potrafią już zwołać w pamięci wszystkich gdzieś po drodze rozprószonych obrazów męki i że na krwawych polach wyrósł potworny grzyb Rewolucji, C i e k a w o ś ć, wyglądanie w domu końca i wyzwolenia to jest straszne, bo to opłata i głuszy plony walki.

„Jeżeli rząd nie da nam autonomji — mówią nar. demokraci — to w saratowskiej lub ufimskiej gub. rzuconą będzie bomba“.

Niewątpliwie; albo w Tomsku żywcem spalą inteligentów, albo w Iwanowie - Woźniesieńsku na kawały rozerwą dziewczynę z proklamacjami, albo wybiją każdego trzeciego obywatela, albo nad całą Europą zawiśnie czarna ręka reakcji.

Walkę ze starczą, zastygłą formą ducha stoczyć musi jednocześnie, lub po wynikach Rewolucji rosyjskiej — cała Europa. Niebezpieczeństwo zbawczej zarazy rewolucyjnej bardzo dobrze uświadamiają sobie państwa ościenne. Być może, że obawa na najbliższe jutro jest jeszcze przedwczesną i tchórzliwą. Ale grają już w dali wieszcze głosy przewrotu.

Dzisiejsze państwa chore są na to, co stanowi ich okazową siłę kulturalną: poczta, telegraf, koleje, międzynarodowość handlu i przemysłu. Więc nasampierw po tych nerwach przebiegnie prąd wyzwoleńczy i wstrząśnie całym systemem dzisiejszych ustrojów społecznych.

Oto p. Bülow dziś już rozumie, że trzeba za wszelką cenę zgnieść socjal. demokrację. Tak by powiedział Plehwe, Trepow, Witte, Durnowo, albo Dubasow, który na barykadach moskiewskich spłodził wyszukaną refleksję, iż wszystkiemu winna jest socjal. demokr. partja „Bund“. Podobnie myślą w zapadłych kątach Królestwa analfabeci, żandarmi i nar. demokraci.

Mowa Bülowa w pruskiej izbie panów jest epokowo charakterystyczną dla typu dzisiejszej zachwianej w swej mocy i wyraźnie tęskniącej do rządów absolutystycznych monarchji. Zgnieść — zdławić — wpędzić w ziemię.

Ale czem?

Armją.

Armje zaś zawiodą. Kilka miljonów socjal. demokratów w Niemczech stanowi siłę większą od armji związkowej, zwłaszcza wobec sprzecznych interesów w łonie samego związku i socjalizacji mieszczaństwa.

Armja składa się nietylko z junkrów, ale z tego samego proletarjatu, z którym przyjdzie walczyć na ulicach. A zwycięska, odkrywcza, wypróbowanana w Rosji siła strajków kolejowych, pocztowych, powszechnych wreszcie — siła mordercza, groźniejsza od bezdymnego prochu i dalekonośnych karabinów, przebijających na wylot cztery deski i cztery klatki piersiowe przechodniów!

Ten oręż skuteczniejszym być jeszcze może w państwach kulturalnie zwartych, aniżeli w Rosji, rozrzuconej od Archangielska do Baku i od Warszawy do Władywostoku. Bülow wzywa burżuazję do zjednoczenia sił — dla walki z rozpanoszoną soc. demokracją. Tak samo myśli rząd rosyjski. Nie zwracaliśmy dotąd należytej uwagi na wzrost tej partji.

Oczywiście jest to jedno z wielu dzisiejszych kłamstw politycznych. Walkę — i to walkę zaciętą toczyły rządy z socjal. demokracją zawsze, od chwili jej ukazania się w życiu publicznem. Rośli oni w pióra, niezależnie od taktyki rządów i naprzekór tej taktyce, źródło swej mocy czerpiąc w uświadomieniu i odczuciu interesów klas wyzyskiwanych.

I oto jest „pomsta i przekleństwo złego czynu“ — i oto jest wiara w konieczność wygrania się do końca społecznego dramatu — w perspektywie tego jeszcze wieku — wiara, dziś jedyna, która pozwala żyć wśród zamętu pojęć i upadku ducha.

Avanti.

JANINA BAUDOUIN DE COURTENAY. 3)

„Towarzyszka“ śmierci.

(Z CHWIL REWOLUCYJNYCH.)

(Ciąg dalszy.)

Usposobiony był teraz widocznie dość „wesoło“, jednak inaczej jakoś brzmiał jego znużony, młody głos.

— Zamiast rozpaczać nad ludzką złością i „świętą prostotą“ miłych pupilów swoich — przeszłabyś lepiej pani choć czasowo do zdrowszej kategorji rannych. Któryś ze starszych babsztylów mógł by przecież ustąpić. Można im wytłómaczyć, że jesteś już pani zbyt zdenerwowaną i słabą, że nie możesz znosić dłużej ciągłego widoku konania — i oto odrazu nastąpi rehabilitacja w naszej godnej opinji publicznej. Żołnierz ranny w mały palec przy lewej nodze wnet wyzdrowieje, zadając tem samem kłam osławionemu „anielstwu śmierci“ wobec kolegów. Zdenerwowanie zaś uratuje jej honor w oczach podobnych ślepych osłów, jakim i ja byłem dotychczas...

— „Hjena gruzińska“ — ozwała się wreszcie Tamara oschłym już, chociaż wciąż jeszcze drżącym, nieposłusznym głosem. — Nie wiem, co więcej mię dotknęło, czy pierwszy wyraz, przeznaczony dla mnie osobiście, czy drugi, wystosowany do mego narodu...

Wyraźne już zawstydzenie, niezręcznie pokrywane śmiechem, odbiło się w jego odpowiedzi.

— Cóż robić, miłaja siestriczka! Prawdziwym jestem wielkorosjaninem, co także zapewne niezbyt sympatycznie brzmi w uszach pani — traktuję więc, jak samodzierżec narodowy wszystkich poddanych swoich, to jest z pogardliwą wyższością: armiaszki, żidki, polaczki etc. etc. Co zaś do gruzinów, hm... gruzinów załączamy do ogólnej kategorji „wostocznych czełowieków“ wraz z czeczeńcami, czerkiesami i t. d. No... ale przecież są jeszcze innego rodzaju patrjoci — dodał po chwili milczenia i już bez śladu śmiechu. — Wierz mi pani, że jest ich nawet wcale dużo. Długo by mówić o tem, jak rosły te zastępy z posiewu dekabrystów, a z obcego ziarna wielkiej zachodniej rewolucji. Inteligencja rosyjska podziwia teraz swój proletarjat, a syn ludu, Gorkij, zachwyca się szczerze naszą inteligencją „najszlachetniejszą i najofiarniejszą“.

— Ale też i zastępy waszego nikczemnego czynownika są nieprzeliczone, a lud, spodlony przez niewolnictwo i materjalizm, składa teraz dowody jaskiniowej dzikości. Nie macie powodu się wynosić przed nami, ludami wschodu.

— Co do biurokracji i drobnego mieszczaństwa — nie przeczę, chociaż nawet i ich wstrząsają od czasu do czasu dreszcze odrodzenia... A ciemny lud — to moc pierwotna, wielki zaczyn przyszłości, spiżowo - złota, wielka siła! Ruch robotniczy przy stacji Tichowieckiej tam u was na Kaukazie przed kilku już laty, gdy padło kilkaset trupów i na Uralu i w Moskwie*) i wreszcie krwawa bania petersburska 9-stycznia — otwiera już wszystkim oczy na nową wzniosłą potęgę. Oświeci się, obudzi przyrośnięty do ziemi tyle już wieków olbrzym — i nowy ten Ilja Muromiec, natchnięty duchem nowym, wstrząśnie się, zrzuci kajdany z siebie — i ze wszystkich ludów, wraz z nim przykutych do wozu samodzierżcy... Bohaterowie odmienni od wodzów Laojanu i Mukdenu — Karpowicz, Bałmaszow, Sazonow — i tylu, tylu już teraz innych zmiatają głowy Zmijów Goryniczów**). Wiew burzy wielkiej, wiosennej, szerzy się z szybkością błyskawicy — otwiera jasne oczy młody bohater — naród!

Nieco przyćmione, łzawe, blado-złote słońce rzuciło pierwsze ciche światło na jego twarz, pełną skrzącego życia, na oczy, pełne płomieni. Z piersi jego wydobyła się i wypłynęła w szerokie, obce pola, zwycięska pieśń dalekiej Europy z nowemi słowami przywłaszczającego ją sobie narodu:

„Wstawaj, podymajsia, raboczij narod!“

— Tu chyba za nią nie przyaresztują! — zaśmiał się, jakby chcąc ukryć falę entuzjazmu, którą wezbrała dusza jego.

. . . .

Wracali milcząc oboje, wyrwani na krótką chwilę swej teraźniejszej zmorze życia. Ze wstrętem wchodzili na zabłocone deski z białego niegdyś drzewa, w które wraz z błotem tyle krwi już wsiąkło. Wysoka postać studenta znikła niebawem gdzieś w głębi budzącego się z jękiem chóralnym namiotu-baraku, Tamara przysiadła na pierwszym zydlu, czując, że dalej ustać nie może, że kolana zginają się pod nią ze znękania...

Wtem od pościeli, przy której znalazła się przypadkiem, doleciał ku niej trwożny, słaby, pokorny głos:

— Siostro! Wy do mnie?!... Czyż to już przyszło mi umierać?

---

*) Ruch uniwersytecki i robotniczy r. 1900.

**) Ilja Muromiec — bohater eposu rosyjskiego, bezwładny w ciągu 33 lat życia, a potem wsławiony wielkimi czynami. Żmij Gorynicz — smok rosyjski.

I po chwili milczenia, zanim zdążyła się opamiętać, dodał z rezygnacją, daleko już spokojniej:

— Ha — cóż robić! Wszystko w ręku bożym.

Uciekła odeń natychmiast, od nich zaś wszystkich nazajutrz „przy okazji“ extra - pociągu. Tej kropli ostatniej „nerwy“ jej znieść już nie były w stanie.

II.

— A to prawdziwy pas, z głębi morza wyrwany, ta północna rzeka! Faluje i pieni się potężnie, po morsku, a rwie wciąż naprzód z taką energią, jak wszystko, co lepsze i piękniejsze dziś w Rosji! Istna Walkirja, spętana w swych granitowych kajdanach i wciąż usiłująca je skruszyć. Powstańcza rzeka!... Pozostałbym tu chętnie jeszcze... nad tą rzeką... na jakiś czas krótki... bardzo krótki... co?

— Nie! nie można.

— Rozejrzałbym się, zapoznał trochę więcej... z wami tu wszystkimi... i z głównym sztabem mocy nieprzyjacielskiej. Wróciłbym najwyżej za jaki tydzień może... Bliższe porozumienie się... wżycie się byłoby właściwie koniecznem... Obserwacje i informacje moje, jak dotychczas, nazbyt powierzchowne jeszcze. Połowę fabryk zaledwie zwiedziłem w ciągu tego miesiąca...

Dwóch najbardziej utalentowanych może członków komitetu dotychczas jeszcze nie przyjechało. Wałęsają się gdzieś dotąd, badając dłużej jedną prowincję, niż ja naszą stolicę... Przypuszczam zresztą, że w ciągu tygodnia... dwóch — nic ważniejszego zajść by tam nie mogło...

— Wolnoż było panu stracić tyle czasu w ciągu miesiąca nadaremnie, kiedy każdy dzień teraz drogi. Wasi tam tak skłonni do wybuchów, tak zresztą drażnią ich obecnie... tak są niecierpliwi! Jedź pan jutro koniecznie, tak, jak zamierzałeś! Zdradzasz dziwną, niezrozumiałą słabość, która mię... martwi ogromnie.

— Ale zarazem raduje! Poco te usta rozkazują odejść, kiedy oczy, te oczy niesłychane, niezwyciężone, wołają zostać! Sama nie masz pojęcia, co się stało z twojemi oczami, zawsze szczeremi — i nawet z ustami, które czasami obłudnie milczą i coraz częściej kłamią nawet, jak oto w tej chwili! Zamiast boleści i grozy bohaterskiej — zamiast tragedji, obcej mej naturze, od których stroniłem też niegdyś instynktownie ze strachem i wstrętem prawie — zabłysł w tych czarodziejskich źrenicach przepych miłości i rozkoszy wszystkimi skarbami nieba i ziemi! Ustom twym, niegdyś mniszym, surowym — miłość nadała miękkie, uległe tony, rzuciła do nich kraśny żar namiętności!... Od takich oczu, od takich ust, nie może uciekać, kto je przetworzył dla siebie tylko, dla siebie... Od kilku dni zaledwie tak zapłonęły i zmiękły... i rozmarzyły się rozkosznie... A jam tak spragniony pomimo wszystko, szczęścia i życia!... Nie przecz, bo nie uwierzę! Nie kłam, bo nie umiesz kłamać!

— To prawda, że nie umiem — i ty także nie umiesz. Wiemy o tem, choć nigdy z sobą o tem nie mówimy. Czy my zresztą w ogóle rozmawialiśmy kiedy ze sobą, oprócz tej jednej chwili na placówce mandżurskiej? Niema czasu... Chcesz prawdy? A więc ci powiem, że od dni kilku zdaje mi się czemuś, że znowu chodzę po wysypanych złotym piaskiem alejach rodzinnego parku. Słońce leje na mnie z góry dziwnie słodkie żary, białe łany narcyzów... a wyżej sploty wszechbarwnych gór, wiecznie zielone ich zbocza i wiecznie srebrne wierzchołki... I w tym półśnie - marzeniu wyciągam do nich ręce, jak dziecko, prostuję skrzydła, jak ptak — i zdaje mi się, że już lecę w bezmiary szczęścia i pogody...

— Daj mi rękę. Jaka blada i delikatna! Strach i litość bierze... Kontrast w istocie znamienny.

— Znamienny? Dlaczego?

— I dla nas i dla naszych czasów. Ja nie tylko po górskich parkach, ale nawet po żadnym wynajętym przez rodziców ogródku nie chadzałem, czego zresztą wcale nie żałuję. I w miejskich skwerach umiałem się bawić znakomicie, wtedy nawet, kiedy ojca pędzali gubernatorzy, począwszy od rodzinnego Pskowa, z miasta do miasta, a matka zamęczała się tłómaczeniami, żeby nas wyżywić! Wcześnie zresztą sam stanąłem na nogi — a w przerwach po pracy urządzałem z kolegami wesołe kawały tym samym gubernatorom i policmajstrom... Teraz niby także to samo — tylko „na inny manier“ — i z pomocą... innych kolegów. Kiedy jestem wśród nich, zaciskam pięście — i czuję, że cały jestem ukuty z żelaza, na wszystko się ważę — i wszystko w proch rozpadnie się przed nami. Czuję, że śmierć sama jąć się mię nie potrafi!... Przy tobie — inaczej... Człowiek sam siebie nie poznaje — wyłazi ze swej zbroi i topnieje nie gorzej od amantów z repertoaru Czechowa, co to sami jeszcze nie wiedzą — nowymi czy dawnymi są ludźmi, naturalnie również pod wpływem jakiejś arcy - subtelnej Cyrce. O te subtelności!... Powiedz sama, czyż nie lepiej by było, żebyśmy już więcej nie rozstawali się ze sobą? Obrzęd krótki nie wiele zabrał by czasu, a potem już wspólne życie, wspólna służba idei, szczęśliwe, uskrzydlone trudy...,

— O nie! czuję wyraźnie, że nie byłabym już wówczas zdatną do niczego. Nie łudźmy się, byłaby to poprostu zdrada w takiej chwili. Wiem, że zrobiłbyś ze mnie niewolnicę swoją, a raczej sama bym się nią stała, zapominając o świecie całym. I jeśli te oczy moje pozują dziś na bohaterstwo, na poświęcenie, to właśnie kłamią bezczelnie... Nie wytrzymałam pierwszej większej próby, uciekłam z Mandżurji do „cichej świątyni nauki“ — teraz mogłabym również uciec do „różanego szaletu“ miłości z pola nowego świętego boju!... I nie dość, że sama spętana... tą mocą nową... padłabym bezwładna w twe ramiona, lecz czuję, że i ciebie więziłabym przy sobie... Czuję, niestety, zgaduję złą potęgę, wiszącą nad nami... O „nas“ dzisiaj — nie może być mowy. Pozostaniemy na swych posterunkach, tymczasem zdala od siebie... Niech przestrzeń nas dzieli, jeżeli wola słabnie... A potem... jeśli ocalejemy, jeśli zwyciężymy, „połączymy się na zawsze“... Przypomnij sobie, że nawet dzisiejsze spóźnienie może mieć fatalne skutki dla całego koła!...

(C. d. n.)

FELIKS GWIŻDŻ.

O zmroku.

O zmroku — w Twoich oczach widzę złote Tatry,
Radość skał i śpiew jezior i smereków taniec,
Zadumę sennych polan, żar płonącej watry
I cudnych kwiatów górskich stubarwny różaniec.

O zmroku — w Twoich oczach widzę białe chaty,
Nad niemi wonne dymy i głuche błękity...
Daleką baśń mej ziemi, słyszaną przed laty...
Kamienne, święte bogi i radosne mity...

O ciche, dobre oczy! O jasne-wy, moje,
Utonąć chciałbym po wiek w tej waszej dobroci —
Bo i gdzież w mojej drodze znajdę czystsze zdroje
I któż mi ją swem światłem — słoneczniej ozłoci?

STANISŁAW ELJASZ-RADZIKOWSKI.

W obronie polskiej mapy Tatr.

(Dokończenie.)

Czyż mam jeszcze podawać więcej przykładów, czy te już nie wystarczają do scharakteryzowania wartości naukowej nomenklatury niemieckiej? A my tymczasem, jak postępujemy z nazwami, których początek jest niemiecki, ale które zmieniły się podług praw naszej głosowni i są w powszechnem użyciu? Nie ruszamy ich, czcimy ich dawność i ani się nam zamarzy o tem, aby K o p e r s z a d y, owe pierwotne niemieckie K u p f e r s c h ä c h t e przetłómaczyć na Miedziane Banie, albo choćby wieś S z a f l a r y zmienić na Owczary, albo S m y t n i ą nazwać Kuźnią, a G i e w o n t — Bystrą Skałą.

Bo, że osadę letnią W e s z t e r h e i m, zowiemy W e s t e r o w o, to nie dlatego, aby ją tłómaczyć, ale ponieważ nazywają ją tak Słowacy, a nazwa ta językowo jest nam bliższa i wygodniejsza, niż niemiecka z pisownią węgierską.

Tak samo piszemy S m o k o w i e c, bo jest to nazwa słowacka, a zresztą czegóż się mamy trzymać, jeżeli nomenklatura niemiecka z lekkiem sercem porzuciła nawet jednę z najdawniejszych nazw swoich, ów S c h m e c k s i już stale używa nazwy urzędowej T a t r a - F ü r e d. Cóż my mamy zrobić w tym wypadku, czy przejąć w spadku po dawniejszej nomenklaturze niemieckiej niewygodny jej już dzisiaj Schmecks, czy przetłómaczyć Tatra-Füred na Łaźnię Tatrzańską?

Wolimy trzymać się nazwy pierwotnej, z której powstał Schmecks, dawniej pisany S c h m ö c k s i zostać przy naszym Smokowcu. Niezbyt dawno zresztą ogłaszał ten sam rocznik węgierskiego Towarzystwa Karpackiego podanie, zachowane w okolicy Smokowca, o s m o k u, który tu się miał chować przed wiekami, a wtedy autor nie mógł się nawet powołać na nazwę słowacką Smokowiec, której zresztą nie zamieściła dotychczas żadna mapa niemiecka.

Dzisiaj mógłby się już piszący o tem podaniu powołać na naszą mapę, a któż zaręczy, czy w niejednem jeszcze miejscu nasza mapa polska nie dopomoże w przyszłości właśnie badaczowi niemieckiemu do rozwikłania zagadnienia dotąd ciemnego*).

*) Nie piszę tego w tem znaczeniu, jakoby nazwa Smokowiec pochodziła od smoka, jest to t. zw. etymologja ludowa, niemniej jednak ważna dla nauki, która się zajmuje zbieraniem przykładów, jak lud tłómaczy sobie nazwy miejscowe. Oczywiście do już istniejącej nazwy przyczepił lud podanie o smoku. Szczegół ważny, boby się to nie stało, gdyby nazwa nie przypominała brzmienia: smok. Autor A l e x a n d e r M ü n n i c h, który w artykule: D i e S c h m e c k s e r G e b i r g s l e h n e (Jahrbuch des Ungarischen Karpathen - Vereines, 1893) przytacza podanie o smoku, nic nie wie o tem, że właśnie nazwa Smokowiec istnieje dla Szmecksu.

Z rozmysłu nie dotknąłem jednej jeszcze kwestji, ale kiedy autor oceny podsuwa wydaniu mapy polskiej z nomenklaturą naszą tendencje polityczno-szowinistyczne, muszę i na to odpowiedzieć.

Celów politycznych mapa nasza nie miała, jedynym celem było, o czem już kilka razy dobitnie powiedziałem, zebrać nomenklaturę polską w Tatrach.

Mogłaby jednak mapa Tatr mieć cele polityczne, ale wtedy musiałaby nieco inaczej wyglądać. Nie zapomnieliśmy bowiem jeszcze o tem, o czem widać na Węgrzech zupełnie zapomniano, że bardzo niedawno, bo w r. 1774 zamieniły miasta spiskie pieczęć z orłem polskim na inną, nową, którą otrzymały od cesarzowej Marji Teresy — że przez wieki całe państwo polskie dzierżyło niejedną dolinę i niejeden szczyt, obecnie już leżący na Węgrzech. Przecież nie pozostało to bez wpływu na nazwy, a więc i podstawy historycznej dla nazw polskich na miejsca w Tatrach, które dzisiaj leżą poza naszą obecną granicą, nie potrzebujemy na daremno szukać. Ale, jak jeszcze raz powtarzam, mapa nasza nie ma celów politycznych, a przestrzegając na każdym kroku słuszności i nazw dawnych, uświęconych tradycją, może mieć prawo, aby ją uważać za mapę naukową i rzetelną, choć się autorowi oceny podobało odmówić jej tych znamion.

PRAWDY I WSKAZANIA.

Nic darmo.

Za wszystko, co człowiek bierze, musi płacić sobą: swoim rozumem, swoją siłą, swoją swobodą i życiem. *M. Gorkij.*

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

Stanisław Szpotański: Konarszczyzna. Przygotowanie powstania w Polsce w 1835—1839 roku. Kraków—Spółka Nakładowa: „Książka“.

Epoka po upadku powstania listopadowego, to epoka szukania nowych dróg i sposobów uwolnienia i wyswobodzenia ojczyzny. Wśród tych dróg jednak góruje i nadal, mimo dopiero co nieudałej wojny, plan walki orężnej, od którego nie odwiodą inicjatorów i znowu świeże doświadczenia wyprawy Zaliwskiego i inne zamierzone a do skutku niedoprowadzone tego rodzaju imprezy, a czego dopiero dokonała taka krwawa i ciężka próba roku 1863.

Z ówczesnych 4 części Polski, dwie t. j. poznańska i Królestwo, są nieruchome, dwie inne, to emigracja i Galicja pełne są życia i przygotowań, przyczem pierwsza z nich, działając raczej teoretycznie, inspirowała różne sposoby Galicji, ta zaś miała je w czyn wprowadzić. A że innego sposobu wówczas nie widziano, pokrył się cały kraj mnóstwem różnych organizacji, które zamiast sobie pomagać, raczej, jak słusznie zauważył autor, psuły sobie wzajem robotę.

Tej epoce, a zwłaszcza od roku 1835—39 autor nadał tytuł „Konarszczyzny“ od głównego działacza w tych czasach, Szymona Konarskiego, „pierwszego, wielkiego, polskiego agitatora“. Tytuł, w tej książeczce zwłaszcza, trochę niewłaściwy a to chociażby z tego powodu, że autor stosunkowo za mało zajmuje się i osobą Konarskiego i jego otoczeniem i nie wykazuje nam, o ile właśnie Konarski, przez swą działalność w tych latach i przez swe oddziaływanie na inne związki i osoby, mógł był nadać swe imię tej tak sypkiej i odległej organizacji galicyjskiej.

Bronisław Pawłowski.

Ilse Frapan: Armenier und Zarismus (odczyt) Wyd. Związku armeńskich studentów w Europie. Genewa 1906 r.

R. Berberow: Die Armenier (ze zbioru „Russen über Russland“.)

Winieta tytułowa małej broszury: Kobieta armeńska wskazuje ręką małemu dziecku na pożogę, ruiny.. Na dzieło dwu monarchów z Carskiego Sioła i z Jildiz Kiosku.

Historja Armeńczyków, łańcuch ślepej wiary w cara, „broniącego katolicyzmu na Wschodzie“, upadek tej wiary i dni dzisiejsze, obudzone poczucie narodowe, wiara w siebie i walka w obronie swej. A krwawy, prawie że nieprzerywany ciąg mordów to w Turcji to na Kaukazie. Naród ten jednak nie apeluje już teraz do cara, ani mocarstw ościennych, ani do sumienia Europy.

Bo zrewolucjonizowany mordami w Baku, w Tyflisie i na każdym skrawku swej ziemi, systematyczną brutalną rusyfikacją, zamykaniem szkół narodowych, konfiskatą majątku kościoła — cały od kasty duchowieństwa, a skończywszy na nowoczesnym, niedawno wytworzonym proletarjacie — walczy. Armenia za krew przelaną swych synów, za hańbę kobiet, za mord dzieci, stawia cara pod pręgieżem i przez usta swej inteligencji, oskarża.

„Trupy Armeńczyków w Baku, i w Szusza, w Erywanie, Manchitszewanie i po tych wszystkich wsiach, one podnoszą się także przeciw Tobie“.

Dżems.

Drukiem W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.